

Habielski, Rafał

Polskie Radio we wrześniu 1939 r. i w okresie poprzedzającym wybuch wojny, w zeznaniach złożonych przed Wojskowym Trybunałem Orzekającym oraz Komisją Powołaną w Związku z Wynikiem Kampanii Wojennej 1939 r. Cz. 2

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 29/1, 109-130

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

POLSKIE RADIO WE WRZEŚNIU 1939 R. I W OKRESIE
POPREDZAJĄCYM WYBUCH WOJNY,
W ZEZNANIACH ZŁOŻONYCH PRZED WOJSKOWYM TRYBUNAŁEM
ORZEKAJĄCYM ORAZ KOMISJĄ POWOŁANĄ W ZWIĄZKU Z WYNIKAMI
KAMPANII WOJENNEJ 1939 R.

Część II

Opracowanie i przypisy Rafał Habielski

9

SPRAWOZDANIE FRYDERYKA SCHOENA
PARYŻ, 20 LUTEGO 1940 R.

I. Polskie Radio na przestrzeni ostatnich lat sześciu

Do Polskiego Radia przyszedłem w listopadzie 1933 r. bezpośrednio po piętnastoletniej czynnej służbie w Armii Polskiej, którą opuściłem w stopniu kapitana Wojsk Łączności, przechodząc na własną prośbę w stan spoczynku w okresie, gdy Wojska Łączności przeżywały swój kryzys organizacyjny i gdy wielu oficerów fachowców opuściło szeregi, przechodząc do przemysłu prywatnego, bądź też do instytucji i przedsiębiorstw państwowych.

W Polskim Radio objąłem wpierw kierownictwo techniczne rozgłośni w Poznaniu, gdzie kierowałem końcową fazą [budowy] nowej, szesnastokilowatowej stacji i prowadziłem Wydział Techniczny tej rozgłośni do 15 lutego 1935 r.

W tym okresie Spółka Akcyjna Polskie Radio przechodziła zasadnicze zmiany, albowiem *gros akcji* (ok. 90%) wykupił rząd, ściślej Ministerstwo Poczty i Telegrafu, a czynnikiem decydującym o dalszym rozwoju polskiej radiofonii stał się minister Poczty i Telegrafu.

Dyrektorem naczelnym Polskiego Radia był w tym okresie dr Zygmunt Charniec, po którego ustąpieniu w lipcu 1935 r. stanowisko to zajął dyrektor Departamentu Ogólnego w Ministerstwie Poczty i Telegrafu śp. Roman Starzyński. Dyrektorem technicznym był przez cały czas inż. Władysław Heller, a sekretarzem generalnym został, już za czasów dyr. Starzyńskiego, inż. Karaffa-Kreuterkrafft Zygmunt (ppłk w stanie spoczynku).

W połowie lutego 1935 r. zostałem przeniesiony do Warszawy na stanowisko kierownika technicznego Centralnej Rozgłośni Polskiego Radia, która to komórka techniczna przybrała w nowej organizacji nazwę: Biuro Technicznego Wykonania Programów. Na tym stanowisku pozostawałem do 5 września 1939 r.

Organizacja Polskiego Radia przedstawiała się w grubszych zarysach następująco:

- I. Naczelna Dyrekcja i Sekretariat Generalny, któremu były podległe:
 - Biuro Prasy i Propagandy
 - Biuro Studiów
 - Biuro Personalne,
- II. Dyrekcja Programów,
- III. Dyrekcja Techniczna,
- IV. Dyrekcja Administracyjna,
- V. Dyrekcje poszczególnych rozgłośni regionalnych.

Ciałem opiniodawczym i decydującym w zakresie polityki programowej była Główna Rada Programowa.

Dyrekcja Techniczna obejmowała:

- 1) biura i referaty samej Dyrekcji,
- 2) kierownictwo stacyj nadawczych Raszyn i Warszawa II,
- 3) Biuro Technicznego Wykonania Programów,
- 4) Zakłady Budowy,
- 5) wydziały techniczne poszczególnych rozgłośni regionalnych.

Od momentu przejścia prawie całego pakietu akcji Polskiego Radia przez Ministerstwo Poczty i Telegrafu, tak jak w szeregu innych zetatyzowanych przedsiębiorstwach, również i w Polskim Radio zaczęła się gospodarka etatystyczna, wprowadzona na wielu odcinkach ze szkodą dla instytucji.

Śp. dyr. Roman Starzyński, człowiek pracowity i ambitny, jednak nie pozbawiony nastawienia typowo urzędniczego, wprowadził na teren instytucji metody pracy stosowane w Ministerstwie Poczty i Telegrafu, opierając również i wewnętrzną organizację instytucji na wzorach zaczerpniętych z tego resortu. A przecież Polskie Radio, jako instytucja wymagająca wielostronnej fachowości i elastycznej, przystosowanej do jej zadań organizacji, nie mogła się wzorować na sztywnych ramach organizacyjnych, gdyż to podcinało jej możliwości rozwojowe pod każdym względem. Oczywiście, że śp. Roman Starzyński chciał jak najlepiej, nie rozumiał jednak, że naczelné stanowisko w radiofonii wymaga znajomości rzeczy i aby kierować radiofonią, trzeba wpiérw popracować w jej niektórych działach, zetknąć się z terenem obsługiwanym przez radiofonię, przestudiować organizację i działalność dobrze postawionych radiofonii zagranicznych i tą drogą opanować w głównych zarysach całokształt zagadnień.

Szybkie decyzje z jednej, a dyletantyzm z drugiej strony doprowadziły w pierwszym rzędzie do nadmiernej rozbudowy administracji, z niekorzyścią dla programu i techniki.

W łonie organizacji Naczelnej Dyrekcji Polskiego Radia za czasów dyrektora Starzyńskiego istniał Sekretariat Generalny. W moim pojęciu, Sekretariat Generalny takiej instytucji, jak Polskie Radio, to jego sztab główny, a sekretarz generalny to szef sztabu. O ile od naczelnego dyrektora można ostatecznie nie wymagać dokładnej znajomości wszystkich zagadnień związanych z radiofonią, o tyle sekretarz generalny musi przodować w znajomości tych zagadnień, a podporządkowany mu personel winien się składać z dobrych fachowców w zakresie poszczególnych specjalności, którzy każde zagadnienie potrafią należycie oświetlić i rozwiązać.

Sekretarz generalny Polskiego Radia nie decydował o żadnych sprawach zasadniczych, lecz wszystko załatwiał naczelný dyrektor bezpośrednio z kierownikami biur, podległych organizacyjnie generalnemu sekretarzowi (Biuro Prasy i Propagandy, Biuro Studiów, Biuro Personalne).

Był to niestety okres, kiedy nad życiem zbiorowym Polski zapanowały dyletantyzm i niefachowość, gdy kierownicze stanowiska zajmowali ludzie kwalifikowani miarą ich zasług, a nie miarą ich fachowości, pracowitości i oddania się pracy

na wyznaczonym im odcinku. Odbiło się to oczywiście ujemnie i na Polskim Radio, jak zresztą i na wielu innych instytucjach o charakterze państwowym, społecznym, instytucjach użyteczności publicznej itd.

Ustosunkowanie się śp. dyr. Starzyńskiego do techniki było w ciągu wielu miesięcy negatywne. Czemu to należało przypisać, nie mogę niestety i dziś jeszcze wytłumaczyć. Czy powodem tego była osoba dyrektora inż. [Władysława] Hellera, człowieka, który w radiofonii polskiej pracował od samego początku jej istnienia, a który niejednokrotnie sprzeciwiał się decyzjom dyr. Starzyńskiego w sprawach techniki, podkreślając w sposób nadzwyczaj delikatny jego niekompetencję w tym kierunku, czy może budżet techniczny, który w miarę rozbudowy programu i konieczności ulepszeń technicznych musiał wzrastać, a czego śp. dyr. Starzyński nie mógł czy nie chciał zrozumieć, czy wreszcie wpływ gen[eralnego] sekretarza, wrogo usposobionego do osoby dyrektora technicznego, jak zresztą i do wielu innych fachowców?

W każdym bądź razie nie rozumiano jednej rzeczy, że podwaliną radiofonii jest jej aparat techniczny, będący instrumentem, na którym gra program. Cóż bowiem znaczy najlepszy program radiofoniczny, jeśli technika nie jest w stanie dobrze go wykonać? Toteż każda rozbudowa programu w sensie jakościowym wymaga odpowiedniego przygotowania się do niej techniki. Powiedziałbym więcej — rozbudowa techniki radiofonicznej winna wyprzedzać rozbudowę programową, gdyż w ten tylko sposób technika może stwarzać coraz to nowe możliwości rozwojowe dla programu. Niestety, tego rodzaju proste rozumowanie nie miało oddźwięku w Polskim Radio. Program się rozwijał, stawiał coraz to nowe, w większości wypadków słuszne żądania techniczne, a ta nie była w możności uczynić im zadość, gdyż Naczelna Dyrekcja za czasów śp. Starzyńskiego uważała żądania techniki za jakieś nieuzasadnione, drogo kosztujące wymysły.

Jako dowód przytoczę tu następujące fakty z mego odcinka pracy (kierownictwo techniczne wykonania programów). Mechanizm urządzeń radiofonicznych składa się z dwóch podstawowych elementów: stacyj nadawczych i urządzeń do technicznego wykonania i przekazywania programów (amplifikatornie, urządzenia modulacyjne, urządzenia do reżyserii elektryczno-akustycznej, studia i mikrofony, urządzenia do utrwalania i odtwarzania dźwięków, urządzenia transmisyjne, przewody i kable łączące studia z amplifikatornią, amplifikatornię ze stacją nadawczą oraz sieć połączeń poszczególnych rozgłośni między sobą). Rozbudowa sieci radiofonicznych stacyj nadawczych musi iść w parze z rozbudową urządzeń technicznego wykonania programów. Dezyderat ten nabierał szczególnej wagi w radiofonii polskiej przy mocno scentralizowanym programie, tzn. że *gros* programu brały rozgłośnie regionalne z Warszawy. Jasnym więc jest, że skoro ilość stacyj nadawczych wzrasta, skoro program zaczyna się uwielokrotniać (różne programy nadawcze jednocześnie z Centrali do rozgłośni regionalnych), skoro w samej Warszawie wprowadza się trzy różne programy (Raszyn, Warszawa II i krótkofalówki), musi się rozbudować i przygotować do tego centrala technicznego wykonania programów. Tymczasem w okresie śp. Starzyńskiego przyznano kredyty na rozbudowę sieci stacyj nadawczych, neglżując zupełnie sprawę jednoczesnej rozbudowy urządzeń technicznego wykonania programów. I tak w budżecie na rok 1936/37 skreślono za sprawą dyr. Starzyńskiego w preliminarzu budżetowym Centralnej Rozgłośni Polskiego Radia z podanych przeze mnie — o ile się nie mylę — 18 pozycji aż 15, a w budżecie na rok 1937/38 z 24 — 19. Rezultat był taki, że z chwilą uruchomienia stacji Warszawa II nie było dla niej amplifikatorni i studiów. To samo dotyczy zresztą i programu krótkofalowego. Wielokrotność programu wyłoniła poza tym konieczność powiększenia ilości szeregu aparatów i urządzeń technicznych oraz personelu technicznego. Niestety, tego nie chciano zrozumieć. Z jednej bowiem strony, stał dyrektor naczelny, człowiek uparty i nieustępliwy, oraz sekretarz generalny, wrogo

usposobiony względem dyrektora technicznego, z drugiej strony — dyrektor techniczny, człowiek miękki, idący po linii najmniejszego oporu, nie mogący znaleźć wspólnego języka do porozumienia się z tamtymi, gdyż tamci się na tym nie znali. Dopiero przedstawienie sprawy przeze mnie na drodze „prywatnej” ludziom mającym pośredni lub bezpośredni wpływ na sprawy rozwoju radiofonii w Polsce (dyrektor Departamentu] Techn[icznego] w Min[isterstwie] Pocz[t] i Telegr[afu] inż. Krzyczkowski Antoni, dyrektor Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego prof. dr inż. [Janusz] Groszkowski i inni) odnosiło skutek i poruszone niedomagania, choć w tempie opóźnionym, mogły być częściowo poprawione.

Przytoczyłem tu tylko jeden przykład, który nie był odosobniony.

Jeśli chodzi o budowę urządzeń radiotechnicznych, to od roku 1934 wszystkie nowe stacje nadawcze oraz przebudowa starych, w sensie powiększenia ich mocy i unowocześnienia, były wykonywane przez Wydział Budowy (później Zakłady Budowy) kierowany przez Dyрекcję Techniczną Polskiego Radia. Również urządzenia amplifikacyjne i niektóre urządzenia do technicznego wykonywania programów były tu projektowane i konstruowane, przy czym należy przyznać, że robota ta była prowadzona dobrze i stosunkowo tanio. Ale zadaniem radiofonii nie jest budowa stacji i urządzeń radiofonicznych, lecz ich eksploatacja. Urządzenia techniczne winna instytucja radiofoniczna nabywać w krajowych wytwórniach radiotechnicznych. W Polsce istniały Państwowe Zakłady Tele- i Radiotechniczne, będące fuzją dawnej odrębnej Państwowej Wytwórni Radiotechnicznej oraz Państwowej Wytwórni Aparatów Telegraficznych i Telefonicznych. Fuzja ta, po zlikwidowaniu Państwowych Zakładów Radiotechnicznych, nie wyszła na dobre, gdyż potrzeby kraju w tej gałęzi przemysłu wykraczały grubo poza możliwości produkcyjne PZTiR. Ponieważ, z jednej strony, Polskie Radio dążyło do ograniczenia zamówień u firm zagranicznych, z drugiej strony zaś terminy dostaw i budowy stacji radiofonicznych dla Polskiego Radia podawane przez PZTiR były nie do przyjęcia, gdyż nakreślony program rozbudowy sieci stacji radiofonicznych musiał być realizowany w tempie szybkim — Polskie Radio musiało stworzyć własną komórkę konstrukcyjną i budowlaną w postaci wspomnianych Zakładów Budowy.

Polityka personalna w Polskim Radio niewiele odbiegała od polityki personalnej prowadzonej w okresie wszechwładzy osławionych Biur Personalnych i w innych instytucjach. W pierwszym rządzie rozbudowano nadmiernie administrację tak w Centrali, jak w rozgłośniach regionalnych, powiększając w tym resorcie ilość etatów pracowniczych niewspółmiernie w porównaniu z Dyrekcją Programową, a zwłaszcza z Dyrekcją Techniczną. Wkradła się do instytucji niesłychana biurokracja, która hamowała jej należyty rozwój. O przyjmowaniu pracowników nie decydowały fachowość i zdolności, lecz przede wszystkim zasługi niepodległościowe lub przynależność do dobrze widzianych ugrupowań i organizacji prorządowych. Istniał przy tym rozwieleniony system protekcyjny, tak że naczelny dyrektor był zmuszony niekiedy przyjąć pracownika wbrew własnemu przekonaniu, gdyż nie miał cywilnej odwagi zdecydowanie sprzeciwić się wysoko postawionemu panu X czy Y. Toteż nic dziwnego, że Polskie Radio zostało w dużym stopniu zachwaszczone przez miernoty pod względem fachowym, intelektualnym, a niekiedy moralnym, z którymi kierownicy biur i wydziałów nie wiedzieli, co począć. Tragizm sytuacji polegał na tym, że w myśl rozporządzenia, o ile mi się zdaje, Rady Ministrów, pracownika o zasługach niepodległościowych zwolnić nie można było, chyba że się dopuścił jakiegoś karygodnego czynu kolidującego z kodeksem prawnym. Najmniej stosunkowo pod tym względem ucierpiały komórki Dyrekcji Technicznej, gdzie określona znajomość techniki była bezapelacyjnie wymagana i sprawdzana.

Jeśli chodzi o personel techniczny, to w okresie gdy na rynku pracy podaży była większa od zapotrzebowania, ograniczenia etatowe nie pozwalały na przygo-

towanie sobie kadr w przewidywaniu szybko postępującego rozwoju naszej techniki radiofonicznej. Gdy zaś w latach późniejszych ilość etatów odpowiednio zwiększono, rynek był już zupełnie wyeksploatowany z dobrych sił technicznych. W przewidywaniu takiej ewentualności, napisałem w swoim czasie obszerny elaborat i przedstawiłem go dyrektorowi technicznemu, programowemu i dyrektorowi naczelnemu, niestety, bez skutku.

*

Trzeba jednak mimo wszystko przyznać, że w okresie gdy naczelnym dyrektorem był śp. Starzyński, radiofonia polska zrobiła duży krok naprzód. Przełom w jej rozwoju nastąpił właściwie już w roku poprzedzającym objęcie przez śp. dyr. Starzyńskiego stanowiska naczelnego dyrektora, a to dzięki dobrej woli kilku wartościowych jednostek, które w swoje ręce ujęły przede wszystkim sprawy programu. Poddany gruntownej analizie i rzeczowej krytyce, dotychczasowy sztywny i wysoce pretensjonalny program uległ w pewnej przynajmniej mierze korzystnym przeobrażeniom w sensie dopasowania go do upodobań i potrzeb szerokich warstw radiosłuchaczy, nie zaś wybranej i nielicznej tylko grupy. Dobrym pociągnięciem było stworzenie Biura Studiów, które między innymi pracami przez gruntowną analizę programów własnych i zagranicznych, nawiązywanie kontaktów z radiosłuchaczami drogą ankiet itp. — dostarczało dużo cennego materiału dla właściwej struktury programów. Zrobiły też swoje, oczywiście, i rozbudowa techniczna sieci radiofonicznej, wzmożona propaganda, potanianie — choć w niedostatecznym jeszcze stopniu — odbiorników radiofonicznych, obniżenie dla niektórych warstw społecznych abonamentu radiowego, no i krok naprzód w podniesieniu się standardu życiowego niektórych warstw społecznych. Te to czynniki spowodowały wzrost ilości abonentów z 300 000 do jednego miliona. Skok na przestrzeni trzech lat bezspornie duży. Natomiast procentowo — w stosunku do ilości ludności w Polsce — liczba mała, skutkiem czego Polska znajdowała się prawie że na szarym końcu wśród zrادیofinizowanych krajów Europy.

*

W związku z szybko postępującym rozwojem radiofonii polskiej i poszczególnych jej agend zaistniała potrzeba budowy gmachu centralnego Polskiego Radia w stolicy. Potrzeba ta stawała się wprost paląca z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, jeśli weźmiemy pod uwagę ciasnotę pomieszczeń technicznych i biurowych oraz brak dostatecznej ilości studiów, ich prymityw i wysoce niefortunne położenie przy ul. Zielnej 26. Radzono sobie w ten sposób, że donajmywano w różnych stronach miasta coraz to nowe lokale, wykładano duże sumy na ich remonty i czysze oraz na opłacenie pokaźnej ilości woźnych i gońców, których zadaniem było ustawiczne cyrkulowanie pomiędzy poszczególnymi biurami. Gdyby za te pieniądze Polskie Radio kupiło w swoim czasie na własność dwie kamienice, wydatki te zamortyzowałyby się bezsprzecznie i wzrosłby majątek nieruchomości instytucji. Śp. Starzyński zapoczątkował realizację budowy nowego gmachu. Moim zdaniem, zabrano się do tego źle.

Zamiast bowiem wpierw zabrać i wypracować w najdrobniejszych szczegółach wszystkie podstawowe elementy, z przewidywaniem oczywiście późniejszych możliwości rozwojowych, a dopiero potem przystąpić do wyboru miejsca i rozpiętości parceli, zdecydowano — po wypracowaniu dość pobieżnych zestawień — kupić parceli o wymiarach ściśle z góry określonych i ograniczonych przy ul. Unii Lubelskiej (miejsce z wielu względów dość niefortunne) i postanowiono do niej dopasować gmach, który by zaspokoił wszystkie potrzeby. Gdyby następnie zebrano wszystkie wyczerpujące dane do projektu gmachu, okazało się, że parcela jest już niewystarczająca.

*

Po śmierci śp. dyr. Starzyńskiego Romana w lipcu 1938 r. naczelnym dyrektorem Polskiego Radia został p. Konrad Libicki. O ile śp. Roman Starzyński był człowiekiem drobiazgowym i zastrzegał sobie decyzje w drobnych nieraz sprawach, dyrektor Libicki rozmawiał tylko z dyrektorami resortowymi i decydował w sprawach zasadniczych, zostawiając dyrektorom pełną swobodę działania w zakresie ich uprawnień. Zasada ze wszech miar słuszna, o ile wszyscy dyrektorzy resortowi są ludźmi odpowiednimi na swych stanowiskach. Bołączki, jakie trapiły instytucję poprzednio, nie zostały i teraz usunięte. Polityka personalna nie zmieniła się, zdecydowane i radykalne posunięcia nie nastąpiły.

Z dniem 1 kwietnia 1939 r. dyr. Libicki wprowadził nową organizację Polskiego Radia. Poszczególne biura rozparcelowano, a ludzi tak z Dyrekcji Programowej, jak i z Sekretariatu Generalnego przeniesiono, przydzielając im nowe funkcje, nie bacząc zupełnie na ich kwalifikacje i znajomość spraw.

Sekretariat Generalny został zlikwidowany. Nie posądzam o to dyrektora Libickiego, że zrobił to w uznaniu zbędności tego resortu, lecz z powodu jego zbytnej i nieracjonalnej rozbudowy oraz aby się prawdopodobnie pozbyć osoby ówczesnego sekretarza generalnego ze swego najbliższego otoczenia.

Stworzono natomiast nową Dyрекcję Stacyj Krótkofalowych, a stanowisko dyrektora powierzono dotychczasowemu sekretarzowi p. Karaffie-Kreuterkrafftowi Zygmuntowi.

Stworzenie Dyrekcji Stacyj Krótkofalowych Polskiego Radia uważałbym za konieczne dopiero z chwilą wybudowania szeregu własnych stacyj krótkofalowych, stworzenia odrębnych urzędzeń do technicznego wykonania programów i konieczności wydzielenia własnego programu z dotychczasowej Dyrekcji Programowej Polskiego Radia. Tymczasem sprawa przedstawiała się następująco: program nadawały stacje krótkofalowe Ministerstwa Poczty i Telegrafu, techniczne wykonanie odbywało się w dotychczasowej wspólnej Centrali Polskiego Radia, o strukturze programu krótkofalowego decydował dyrektor programów Radia Polskiego, a *gros* programu muzycznego stanowiły płyty i nagrania powtarzane z programu ogólnopolskiego.

Czyż do tego potrzebna była aż specjalna dyrekcja z kilku wydziałami? Czy nie wystarczał w zupełności istniejący dotychczas w łonie Dyrekcji Programowej referat, a najwyżej wydział krótkofalowy? Czyż nie jest tu aż nazbyt widoczne, że omawiana dyrekcja została stworzona *ad personam*?

*

Poruszę tu również sprawę przeszkolenia personelu już pracującego i nowo przyjmowanego do Polskiego Radia. Sprawa ta stała się aktualna jeszcze za śp. dyr. Starzyńskiego, a przybrała postać nieodzownej konieczności za czasów dyr. Libickiego. Jeśli chodzi o personel techniczny, to przyjmowało się na okres próbny ludzi z fachowym wykształceniem lub fachową praktyką. Byli to absolwenci Politechniki, Wyższych Szkół Budowy Maszyn i Elektrotechniki, Państwowych Kursów Radiotechnicznych itp. Po trzymiesięcznej praktyce, w czasie której przyswajali oni sobie czynności związane z eksploatacją i konstrukcją urzędzeń radiofonicznych, byli oni przyjmowani na stałe, o ile oczywiście praktyka wypadła pozytywnie. Ale już w roku 1937/38 w związku z dużym zapotrzebowaniem na specjalistów w zakresie elektrotechniki (C[entralny] O[kręg] P[rzemysłowy], rozbudowa przemysłu, wzrost ilości warsztatów pracy itp.) okazał się brak kandydatów i trzeba było pomyśleć o środkach zaradczych i o przygotowaniu sobie kadr fachowców we własnym zakresie. Jeszcze bardziej palącą potrzebą było przeszkolenie pracowników programowych w zakresie organizacji i struktury programowej oraz w zakresie samego wykonywania programów, a więc w dziedzinie, którą można było opanować

tylko w łonie samej instytucji (jakiegoś instytutu radiofonicznego, na wzór zagranicy, Polska nie posiadała).

Wreszcie najważniejszą sprawą było przeszkolenie personelu nietechnicznego na wypadek wojny, do pełnienia pewnych koniecznych funkcji technicznych. Do szczególnego rozpracowania tych zagadnień została przez Naczelną Dyрекcję wyznaczona komisja, składająca się z przedstawicieli Dyrekcji Programów, Biura Studiów i Dyrekcji Technicznej. Po kilkutygodniowej intensywnej pracy komisja złożyła wyczerpujący w tej sprawie elaborat — łącznie z programami, budżetem, listą wykładowców, terminami rozpoczęcia poszczególnych kursów, projektami stypendiów itd. — ale niestety, pomimo przyjęcia projektu przez Naczelną Dyrekcję sprawa została odłożona *ad calendas Graecas*.

*

Jeżeli chodzi o sprawę budżetu technicznego Polskiego Radia, to należy przyznać, że za czasów dyr. Libickiego odnoszono się do niego z większym zrozumieniem, tak że po zrealizowaniu budżetu na rok 1939/40 radiofonia polska przewyższałaby tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym urządzeń i sprzętu niektóre nawet większe radiofonie europejskie. Tu nadmienię, że i poziom fachowy personelu technicznego Polskiego Radia jest — przeciętnie biorąc — wyższy od personelu niektórych poważnych radiofonii europejskich.

Miałem możność stwierdzić to niejednokrotnie.

II. Przygotowanie Polskiego Radia dla potrzeb armii i obrony kraju

Jak olbrzymie znaczenie dla potrzeb armii i obrony kraju posiada radiofonia, tego chyba specjalnie udowodniać nie potrzeba. Potwierdza to w całej rozciągłości obecna wojna.

Do zadań radiofonii na wypadek wojny należą:

- 1) odpowiednia propaganda wśród wojska i ludności cywilnej,
- 2) służba informacyjna w okresie mobilizacji i w czasie działań wojennych,
- 3) szerzenie dywersji wśród ludności wrogiego państwa i armii nieprzyjacielskiej,
- 4) przeciwdziałanie wrogiej propagandzie, przez zakłócanie nieprzyjacielskich audycji propagandowych i dywersyjnych,
- 5) współdziałanie w służbie dozoru OPL [Obrony Przeciwlotniczej] z siecią wojskową OPL,
- 6) współdziałanie w zakresie służby łączności większych jednostek armii,
- 7) współdziałanie z lotnictwem i marynarką wojenną w zakresie orientowania pozostających w akcji jednostek powietrznych i morskich.

Aby radiofonia mogła zadania te podczas wojny należycie wypełnić, musi ona być do tego w czasie pokoju stale przygotowywana. Do przygotowania radiofonii na wypadek wojny powołane są wyłącznie władze wojskowe, które dają dyrektywy i opracowują wszechstronny plan Mobilizacyjny dla radiofonii. Zdaniem moim, w Ministerstwie Spraw Wojskowych lub w Sztabie Głównym podczas pokoju istnieje winna specjalna komórka, której zadaniem byłoby właśnie scentralizowanie wyszczególnionych zagadnień, opracowanie i utrzymywanie w stanie aktualności planu Mob dla radiofonii oraz narzucanie Dyrekcji Polskiego Radia szeregu dezyderatów w zakresie budowy stacyj nadawczych, rozbudowy sieci połączeń, przygotowania stacyj dywersyjnych, budowy schronów dla urządzeń technicznych i studiów, przygotowania personelu do pełnienia specjalnych czynności w czasie wojny itp. Wiąże się to, oczywiście, ze zwiększonymi wydatkami, które instytucja musiałaby ponieść. I Polskie Radio na ten cel miałoby własne fundusze, gdyby nie musiało corocznie

odprowadzać pokaźnej części swoich dochodów do Ministerstwa Poczty i Telegrafu, gdzie były one zużywane na potrzeby tego resortu.

Z chwilą rozpoczęcia wojny, a raczej już nawet w okresie poprzedzającym wybuch wojny, na terenie Radia winni się znaleźć oficerowie, którzy by zagadnienia te rozpracowali, by ostatecznie wszystko sprawnie i odpowiednio nastawić. Od momentu ogłoszenia mobilizacji kierownictwo Radia winno bezwarunkowo przejść w ręce wojska, w osobie oficera już w czasie pokoju przygotowanego do roli czynnika kierującego całą łącznością państwa podczas wojny. Również i do rozgłośni regionalnych winni być przydzieleni oficerowie znający dokładnie plan Mob instytucji i jej zadania na wypadek wojny.

Na to, czy Polskie Radio było w ten sposób w stu procentach przygotowane do wojny przed 1 września 1939 r., istnieje tylko jedna odpowiedź: nie.

Planu Mob, obejmującego wszystkie poruszone zagadnienia, nie było:

1) stacje nadawcze i amplifikatornie w większości wypadków nie posiadały schronów, a co najważniejsze — własnych elektrowni,

2) budynek Centrali przy ul. Zielnej 25 w Warszawie nie miał schronu dla urządzeń technicznych i personelu,

3) personel techniczny, który miał być wyreklamowany, kart zwolnienia do chwili ogłoszenia ogólnej mobilizacji nie otrzymał,

4) maski gazowe rozdano personelowi dopiero w dniu 3 września 1939 r.,

5) urządzeń do obrony biernej przeciwlotniczej oraz odpowiednich zabezpieczeń gmachów i ludzi prawie że nie było,

6) ochrona budynków Polskiego Radia i Centrali w Warszawie przeciw sabotażom nie została przewidziana, zarządono ją *ad hoc* dopiero po 1 września 1939 r.

Tu muszę podkreślić, że na odcinku mego zakresu działania niejednokrotnie w sprawach wyżej poruszonych ingerowałem osobiście i pisemnie w Dyrekcji Naczelnej Polskiego Radia, Dyrekcji Administracyjnej i w Referacie Bezpieczeństwa. Tak np. sprawę konieczności urządzenia zapasowej amplifikacji i studiów w schronach dla Warszawy I, II i krótkofalówek poruszyłem w pierwszej połowie czerwca 1939 r. Decyzja natomiast w tej sprawie zapadła dopiero w ostatnich dniach sierpnia, a roboty, rozpoczęte — natychmiast po otrzymaniu decyzji — w piwnicach gmachu zajmowanego przez Naczelną Dyrekcję przy ul. Mazowieckiej 5, nie dobiegły końca przed zarządzoną ewakuacją.

Tu nadmienię, że sprawy Mob i sprawy bezpieczeństwa należały do kompetencji Biura Personalnego w Naczelnej Dyrekcji, w którym istniały odpowiednie komórki, a mianowicie: Referat Wojskowy i Referat Bezpieczeństwa. Inne biura i wydziały poszczególnych dyrekcji i rozgłośni do tych spraw dostępu nie miały, a wykonywały tylko fragmentarycznie pewne polecenia, wydawane przez Naczelną Dyrekcję w tej materii.

Ze spraw, które zostały na czas przygotowane i zdały egzamin, muszę szczególnie podkreślić dobrze zorganizowaną przez wojsko sieć dozoru OPL wespół z Centralą i rozgłościami Polskiego Radia oraz urzędzoną przez Polskie Radio w gmachu Kierownictwa Marynarki Wojennej (na żądanie wojska) specjalną amplifikatornią, w pośrednictwem której oraz stacji nadawczych Polskiego Radia jeszcze przed rozpoczęciem i już w czasie działań wojennych flota nasza otrzymywała ważne rozkazy.

Przygotowane również były na stacjach nadawczych punkty mikrofonowe i stoły do nadawania płyt, z których w wypadku zniszczenia amplifikatorni mogły być nadawane audycje. Każda rozgłośnia posiadała nakazane przez wojsko urządzenie do nadawania radiotelegramów oraz specjalny szerokokresowy odbiornik.

Reasumując powyższe, należy stwierdzić, że aczkolwiek naczelne stanowiska w Polskim Radio i w Ministerstwie Poczty i Telegrafu, jako instytucji nadrzędnej,

obsadzone były przez byłych wyższych oficerów, nie wyczuwało się zrozumienia potrzeby jak najściślejszej współpracy z wojskiem w zakresie przygotowania tej tak ważnej instytucji do spraw obrony państwa.

III. Centrala Polskiego Radia w Warszawie w okresie rozpoczęcia działań wojennych i ewakuacji

Już w ostatnich dniach sierpnia Centrala Polskiego Radia przestawiła się programowo na pracę dostosowaną do potrzeb chwili, głównie w zakresie propagandowym i informacyjnym, zaś z dniem 31 sierpnia zarządzone zostało pogotowie OPL i wszystkie rozgłośnie weszły w sieć dozorowania OPL. Począła też funkcjonować amplifikatornia zamontowana w gmachu Marynarki Wojennej.

Z powodu niedostarczenia na czas kart zwalniających, część obsługi technicznej — pomimo iż cały personel techniczny miał być reklamowany — odeszła do służby czynnej na skutek imiennych powołań. Dopiero na krótko przed ogłoszeniem ogólnej mobilizacji dostarczono część kart reklamacyjnych. W przeciwnym bowiem razie *gros* techników odeszłaby do wojska, a stacje nadawcze, amplifikatornie i inne urządzenia techniczne pozostawałyby bez obsługi w tak niesłychanie ważnym momencie¹.

Z dniem 1 września 1939 r. już od rana rozpoczęły się naloty nieprzyjacielskie i bombardowania. Z ramienia wojska przybył do Polskiego Radia p. pułkownik Umiastowski, szef Kwatery Prasowej Naczelnego Dowództwa, i zapoczątkował nadawanie komunikatów wojskowych. Nie wydelegowano natomiast oficera, któremu byłyby podporządkowane wszystkie funkcje Radia, poruszone w poprzednim rozdziale, a który miałby pełne uprawnienia do wydawania zdecydowanych rozkazów, zależnie od takiej czy innej sytuacji wojskowej. Stąd więc wniosek, że o sprawach tych przedtem nie pomyślano.

Do dnia 6 września praca w Centrali Radia w Warszawie odbywała się bez przerwy, pomimo ustawicznych nalotów i bombardowań. Wszyscy przebywali prawie bez wytchnienia na swoich posterunkach, przy czym postawa pracowników, duch i ofiarność w pracy są tu godne podkreślenia.

Nadszedł wreszcie ów fatalny dzień 6 września 1939 r. Zarządzona w ciągu nocy ewakuacja wszystkich urzędów państwowych, władz i instytucji objęła również i Polskie Radio. Dyrektorzy stracili głowę. Rozumnego planu ewakuacji nie było, a to, co nastąpiło, odbyło się w takim tempie i takim bezhołwii, jak gdyby Niemcy znajdowali się co najmniej na peryferiach miasta. Około 7 z rana zawiadomił mnie dyrektor techniczny p. inż. [Władysław] Heller, że z polecenia Naczelnej Dyrekcji mam się stawić z małą walizką w Dyrekcji Programowej na pl. Dąbrowskiego 3, gdyż mamy opuścić Warszawę z powodu przełamania przez Niemców frontu. Mówił głosem złamanym i łzawym. Na moją interpelację, że to chyba nie może dotyczyć personelu technicznego, który powinien pozostać na stanowiskach, otrzymałem odpowiedź, że zgadza się on ze mną w zupełności, ale że Dyrekcja Naczelna stawia sprawę inaczej.

Przybywszy (oczywiście bez żadnych przyborów do podróży) do Dyrekcji Programów, zastałem tam dyrektora programów p. Piotra Góreckiego, mocno zdenerwowanego i wydającego z trudnością zarządzenia dotyczące ewakuacji. Dyr. Górecki oświadczył mi, że musimy opuścić Warszawę, że w tym celu będzie zorganizowana kolumna samochodowa z wozów Polskiego Radia i że wyjazd nastąpić może w każdej chwili. Zastałem w pokoju dyr. Góreckiego i w przyległych pomieszczeniach wiele osób spośród pracowników Polskiego Radia i ich rodzin,

¹ W pierwszym tygodniu wojny na skutek szybkiego posuwania się oddziałów niemieckich zamilkły radiostacje w Katowicach, Krakowie, Poznaniu, Łodzi i Toruniu.

przygotowanych już do wyjazdu. Na sporządzonej tak zwanej liście osób mających wyjechać poza nazwiskami Naczelnej Dyrekcji i wszystkich dyrektorów resortowych figurowały również i nazwiska: kierownika stacyj nadawczych Raszyn i Warszawa II p. inż. [Władysława] Rabęckiego, kierownika Biura Technicznej Gospodarki Materiałowej p. [Brunona] Sommera, kierownika Zakładów Budowy p. inż. [Aleksandra] Janika, kierownika Biura Technicznego Wykonania Programów, a więc moje. Tak więc za jednym zamachem pozbawiono to, co było najważniejsze w danej chwili — a więc komórki techniczne — ich kierowników.

Nie czekając na dalsze zarządzenia i widząc, że wszystko się rozkleja, udałem się na Zielną 25 do mego warsztatu pracy (amplifikatornie, dział nagrywań, dział transmisji i studia), nie mówiąc na razie personelowi nic o powziętych przez Naczelną Dyrekcję decyzjach, aby to nie wpłynęło na tok normalnie odbywającej się pracy. Tymczasem około godziny 10 zostało zwołane w dużym studio przy ul. Zielnej zebranie wszystkich pracowników (których można było, oczywiście, zawiadomić) i tu z polecenia Dyrekcji Polskiego Radia wysłanniczka Dyrekcji p. dr Maria Zebrowska podała do wiadomości ogółu pracowników, że Dyrekcja Polskiego Radia wobec rozwijających się wypadków, wobec odcięcia Warszawy od rządu, który już opuścił stolicę, nie może brać odpowiedzialności za dalsze losy pracowników, że uważa swój stosunek do pracowników [za] rozwiązany i że każdy na własną rękę może robić to, co uważa za stosowne. Był to oczywiście grom z jasnego nieba, grom godzący w całość instytucji, która właśnie w tej chwili, gdy zachodnie rozgłoszenie przestały już działać na skutek wydarzeń wojennych na ich terenach, gdy Centrala i pozostałe rozgłoszenie stały się niesłuchanie ważnym instrumentem do podtrzymania ducha armii i wśród ludności, gdy teraz mogły być one wykorzystane przez wojsko dla informowania porozrywanych członów armii — przestała właściwie istnieć.

Ja osobiście na tym zebraniu nie byłem, gdyż pracowałem w amplifikatorni. Gdy wiadomość ta do nas dotarła, poleciłem technikom pozostać na stanowiskach aż do wyjaśnienia przeze mnie sprawy, sam zaś udałem się do dyr. Libickiego. Oświadczyłem mu, że wobec takiego postawienia sprawy przez Naczelną Dyrekcję [jest] obowiązkiem wszystkich pracowników, którzy zostali wyreklamowani, zgłosić się natychmiast do czynnej służby w wojsku, że ja osobiście każę przygotować obydwie wozy transmisyjne do służby łączności radiowej i dziś jeszcze zamelduję się z wozami i kompletną obsługą do pracy w wojsku. Na to otrzymałem płacet naczelnego dyrektora p. Libickiego i natychmiast przystąpiłem do realizacji tego zamiaru. Spośród podległego mi personelu technicznego wybrałem techników obowiązanych do służby wojskowej, kazałem z wozów wymontować urządzenia do nagrywania, a wstawić trzy stacje krótkofalowe przenośne, doskonale nadające się do pracy w polu. Kierowcom kazałem wozy przygotować do dłuższej podróży. Wyjazd wyznaczyłem na godz. 16. W międzyczasie zatelefonowałem do Ministerstwa Spraw Wojskowych (dowództwo Wojsk Łączności), chcąc się zameldować, aby otrzymać dalsze rozkazy. Otrzymałem niestety odpowiedź, że Ministerstwo Spraw Wojskowych zostało już ewakuowane i że ostatni transport ewakuacyjny właśnie odchodzi. Postanowiłem więc na własną rękę wyjechać w kierunku na Modlin, aby dołączyć się do najbliższej spotkanej formacji łączności jakiegoś dowództwa armii, grupy operacyjnej lub dywizji. W Centrali poleciłem technikom nie obowiązującym do służby wojskowej pozostać na stanowiskach pod kierunkiem mego zastępcy p. [Zygmunta] Rossochackiego (kat. E), z tym że wobec istniejącej sytuacji najprawdopodobniej stacje Polskiego Radia i Centrala zostaną obsadzone wkrótce przez wojsko.

Najgorszym było to, że nikt kompetentny nie mógł poinformować o właściwym stanie rzeczy, toteż gubiono się w domysłach, szerzono niepotrzebnie panikę.

Między godz. 12 a 13 wypłacono pracownikom Polskiego Radia dwumiesięczne

pobory, co łącznie z poborami wrześniowymi stanowiło trzymiesięczne wynagrodzenie, należne ustawowo pracownikowi umysłowemu z tytułu rozwiązania z nim umowy przez pracodawcę. Około godz. 14 wezwał mnie dyr. naczelny p. Libicki i oznajmił mi, że z polecenia pana premiera Polskie Radio ma sformować obsługę programowo-techniczną, która zostaje przydzielona do dyspozycji Ministerstwa Propagandy, że wobec tego mam przygotować wozy techniczne i obsługę i wieczorem z całą tą ekipą mam wyjechać do Lublina ustaloną trasą, gdzie mam się zameldować u p. ministra [Michała] Grażyńskiego. Polecenie to zostało mi wydane na moją prośbę na piśmie. Musiałem wobec tego zmienić moje poprzednie postanowienie. Kazałem więc wozy transmisyjne z powrotem doprowadzić do poprzedniego stanu, zabrać ile się da sprzętu i materiałów zapasowych oraz ustaliłem ostatecznie skład ekipy, a mianowicie: ja, jako kierownik ekipy technicznej, technicy: [Włodzimierz] Nowik, [Wacław] Rosiewicz, [Leonard] Sadzyński, Wiraszka i Karniewski oraz szoferzy: Barzyczak i Olszewski. Termin wyjazdu ustaliłem na godz. 20. W międzyczasie zniszczyłem i spaliłem dokumenty tajne, znajdujące się w moim biurze. Tymczasem Dyrekcja Polskiego Radia przygotowywała się również do wyjazdu: zmobilizowano cały tabor samochodowy, rozmieszczono na poszczególnych wozach ludzi wyznaczonych do opuszczenia Warszawy, a komendantem transportu został dyrektor krótkofalówek p. Karaffa-Kreuterkrafft, który jako ppułkownik w stanie spoczynku przywdział mundur wojskowy. Zamiast zarządzić wywiezienie cennego sprzętu technicznego z laboratoriów i centralnego magazynu (część zabrał dyrektor techniczny do autobusu), który można było — jak się później okazało — uratować, zamiast pomyśleć o zniszczeniu dokumentów, a zwłaszcza ewidencji radiosłuchaczy, która wpadła w ręce Niemców, zamiast zatroszczyć się o tych ludzi, którzy zostali na posterunku i zabezpieczyć im na pewien czas byt i możliwość cyrkulacji między Centralą a stacjami nadawczymi przez oddanie do ich dyspozycji przynajmniej trzech samochodów i zapasu benzyny, Dyrekcja wywoziła siebie, kierowników technicznych oraz ludzi z programu i administracji (obojsza płci), którzy mogli byli z powodzeniem pozostać w Warszawie. A stało się to dlatego, że nie było — jak już wspomniałem — planu racjonalnej ewakuacji oraz kompetentnej władzy wojskowej, która by w sposób zdecydowany i nieprzebierający w środkach wydała mądre i właściwe w danej sytuacji zarządzenia, skoro Ministerstwo Poczty i Telegrafu ani Dyrekcja Polskiego Radia nie umiały tego dokonać.

Kolumna Polskiego Radia opuściła Warszawę dnia 6 września 1939 r. późnym wieczorem. Ja ze sformowaną ekipą techniczną wyjechałem oddzielnie również tego wieczoru poleconą mi trasą przez Wilanów, Jeziorną, Otwock, Garwolin w stronę Lublina. Z powodu zatłoczenia szosy Warszawa—Lublin i panującego na niej zupełnego bezładu, jechało się krok za krokiem, tak że o brzasku 7 września znaleźliśmy się zaledwie w miejscowości Ryki za Dęblinem. Dalsza jazda w tych warunkach była nie do pomyślenia, gdyż na szosie utworzył się zator nie do przebycia, a samoloty niemieckie zaczęły już bombardowanie i ostrzeliwanie szosy z karabinów maszynowych. Zjechaliśmy z drogi w bok do lasku, gdzie postanowiłem przekroczyć do południa. Około godz. 18 wyruszyliśmy w dalszą drogę. Na parę kilometrów przed Lublinem policja zatrzymała nas i nie pozwoliła dalej jechać z powodu silnego bombardowania tego odcinka szosy. Skierowano nas przez Kurów i Lubartów. W Lubartowie skończyła się nam benzyna. Przenocowaliśmy tu i następnego ranka, tj. 8 września, po otrzymaniu ze starostwa benzyny, ruszyliśmy do Lublina. Widząc chaos i zamieszanie, jakie tu panują, oraz brak jakiegokolwiek decyzji ze strony władz, co mamy dalej robić, postanowiłem ponownie oddać się z całą ekipą na usługi wojska. W tym celu zatelefonowałem do szefa łączności O.Kł. II mjr. Ł. Reclawa, lecz otrzymałem odpowiedź, że Lublin jest w trakcie ewakuacji wojskowej i żadnych ścisłych dyrektyw udzielić mi nie może. Po tym fakcie odszukałem kolumnę Polskiego Radia i zostałem wezwany przez dyrektora

programowego p. Góreckiego na zebranie, na którym oświadczono mi, że mam się udać z ekipą do Łucka, dokąd udaje się rząd i gdzie mamy rozpocząć pracę przy instalującym się Ministerstwie Propagandy.

Tu nadmienię, że w Lublinie spotkałem część techników, którzy opuścili Warszawę w nocy z dnia 7 na 8 września, a to na skutek zarządzenia ogłoszonego w Warszawie przez radio, że wszyscy mężczyźni od 18 do 50 lat mają bezwarunkowo opuścić natychmiast Warszawę i udać się na wschód. I to było dalszym powodem tego, że stacje i urządzenia techniczne Radia Polskiego w Warszawie zostały ogołocone z personelu, za którym następnie szukano po drogach i miastach, aby go z powrotem ściągnąć do Warszawy, i to również stało się zapewne przyczyną, że Warszawę opuścił personel szeregu takich instytucyj użyteczności publicznej, jak straż pożarna, elektrownia, gazownia, wodociągi, autobusy itd. — zabierając ze sobą nawet sprzęt.

Po przybyciu do Łucka rano dnia 9 września 1939 r. zameldowałem się w Ministerstwie Propagandy i rozpoczęliśmy natychmiast pracę, organizując podsłuch radiowy, nadawanie komunikatów (za pomocą przywiezionych stacyj krótkofalowych) oraz audycji, przekazywanych za pośrednictwem przewodów z Łucka do rozgłośni we Lwowie. Pomimo ustawicznych nalotów i bombardowań pracowaliśmy tu do dnia 14 września 1939 r., w którym to dniu po południu otrzymałem polecenie udania się z ekipą do Kosowa Huculskiego. W Kosowie rozpoczęliśmy pracę dnia 16 rano, zaś dnia 17 września 1939 r. po południu z powodu wkroczenia na nasze terytorium bolszewików otrzymałem polecenie przerwania pracy, zdemontowania urzędzeń, przekroczenia granicy rumuńskiej w Kutach i udania się do Czerniowiec. Z Czerniowiec polecił mi dyr. Libicki udać się z całą ekipą do Bukaresztu, co też po załatwieniu formalności paszportowych uczyniłem.

*

Podczas opisanej powyżej wędrowki z Warszawy do Kosowa miałem możność stwierdzić całkowitą dezorganizację panującą na tyłach walczącej armii. Władze administracyjne, wojskowe i organy bezpieczeństwa traciły głowy. Na drogach i szosach obwodowych panował niesłychany zamęt. Widziało się uchodzącą w bezładzie policję, wlokące się od miasteczka do miasteczka grupy powołanych rezerwistów w ubraniach cywilnych lub na wpół umundurowanych, którymi nikt się nie opiekował, którzy zgłaszali się do R[ejonowych] K[omend] U[zupełnień], a te nie wiedziały, co z nimi począć. Brak materiałów pędnych spowodował zatarasowanie dróg dużą ilością pojazdów mechanicznych. Rzuciła się w oczy i raziła duża ilość wyższych oficerów i policji jeżdżących wyłącznie samochodami. I nie znalazł się nikt, kto by się zajął zrobieniem jakiegoś takiego porządku na tyłach. Wobec ustawicznych nalotów na linie komunikacyjne i drogi nie było to oczywiście rzeczą łatwą, ale przy energicznym zabraniu się do rzeczy i ujęciu w karby fali uciekającej można było zorganizować wiele oddziałów asystencyjnych i porządkowych, które by dozorowały ruch na drogach, przeciwdziałały licznym sabotażom, niosły pomoc bombardowanym i płonącym osiedlom itd.

IV. Pobyt w Rumunii i przeprowadzenie siedmiu wozów do Francji

Do Bukaresztu przyprowadziłem obydwie wozy transmisyjne wraz z obsługą i ludźmi dnia 26 września 1939 r. Zastałem tu już dyrektorów Libickiego, Góreckiego, [Zenona] Kosidowskiego², Karaffę-Kreuterkraffa i wielu pracowników Polskie-

² Z. Kosidowski (1898—1978), w l. 1928—1934 kierownik literacki rozgłośni poznańskiej, 1928—1931 redaktor „Tygodnika Radiowego”, następnie dyrektor rozgłośni poznańskiej, od 1938 dyrektor rozgłośni warszawskiej Polskiego Radia.

go Radia z Centrali oraz rozgłośni regionalnych. Znalazły się tu również trzy samochody propagandowe Polskiego Radia, przyprawdzone przez dr. [Franciszka] Pawliszaka. Część pracowników Polskiego Radia zdecydowała się od razu na wyjazd do Francji i podpisała deklarację, inni zrobili to w terminie późniejszym, znów inni postanowili pozostać w Rumunii, co też uczynili. Grupa, która podpisała deklarację, otrzymała wize francuskie dnia 5 października 1939 r., wize jugosłowiańskie 6 października 1939 r., mogła więc wyjechać, gdyż Włosi na razie wiz przejazdowych nie wymagali. Chodziło nam jednak o kosztowne wozy aparatowe, na które Rumuni mieli wielki apetyt i mogli je w każdej chwili zarekwirować. Dyrekcja Polskiego Radia zamierzała początkowo przejechać samochodami do Francji, sprawa ta jednak upadła, gdyż Włosi wprowadzili wize i postępowali na razie bardzo rygorystycznie przy ich udzielaniu. Wówczas to podjąłem się przeprowadzenia trzech wozów, a mianowicie: dwóch transmisyjnych i jednego autobusu przez Jugosławię i Grecję (Pireus); trzy wozy propagandowe chciała Dyrekcja początkowo sprzedać rumuńskiemu Ministerstwu Propagandy, w końcu zaś zdecydowała się wozy skierować do Beogradu, gdzie miały one być zdeponowane względnie oddane do użytku jugosłowiańskiej radiofonii.

Uważając w ten sposób sprawę za załatwioną, dyrektorzy Libicki i Górecki wyjechali z rodzinami dnia 14 października 1939 r. kolejną do Paryża, zostawiając wozy i personel dalszemu ich losowi. W kilka dni później wyjechał do Paryża również dyr. Kosidowski z grupą pracowników programowych.

Po wyjeździe dyrektorów wspólnie z p. Tadeuszem Strzetelskim zabraliśmy się do wydostania z Rumunii wszystkich naszych wozów, aby je przywieźć z obsługą do Francji. Wozy miałem ja przeprowadzić. Początkowo bałem się prowadzenia tak dużej kolumny. Proponowałem najpierw przepchać cztery wozy, tj. dwa transmisyjne, jeden autobus i buicka, a gdy te przejdą, puścić wozy propagandowe. Tymczasem Rumuni wprowadzili wize wyjazdowe dla ludzi i pojazdów, wyrobienie których nas kosztowało dużo czasu, zmartwień i pieniędzy. Gdy otrzymałem relację, że przez Włochy można jednak przejechać, postanowiłem zabrać wszystkie wozy, a więc dwa transmisyjne, trzy propagandowe, jeden autobus materiałowy i jeden osobowy (buick) — razem siedem wozów. W szybkim tempie postarałem się o remont i wyposażenie wozów na drogę oraz przeprowadziłem obowiązującą na terenie Rumunii rejestrację wozów. W międzyczasie przybył z Paryża p. Stebelski, który definitywnie ustalił i zaakceptował koszty transportu wozów i ludzi do Francji. Dnia 8 listopada ostatnia partia ludzi z mojej ekipy otrzymała wize wyjazdowe, toteż termin wyjazdu ustaliłem na 10 listopada 1939 r. Ponieważ jednak policja w Bukareszcie za bardzo zaczęła się wozami interesować, przesunąłem termin wyjazdu na niedzielę 12 listopada, w którym to dniu wczesnym rankiem wozy pojedynczo opuściły Bukareszt i dopiero daleko za miastem zgrupowały się w kolumnę. Będąc już w drodze, dowiedzieliśmy się, że wszystkie wize wyjazdowe zostały unieważnione i że trzeba wyrabiać nowe. Po chwili zastanowienia postanowiłem pomimo wszystko pchać się bez wytchnienia ku granicy (500 km). Używając różnych sztuczek, aby nie wpaść w ręce żandarmerii, a gdzie można było opłacając się, dotarliśmy rano 13 listopada do miejscowości granicznej Bazias. Tu, po telefonicznych pertraktacjach z Bukaresztem z powodu unieważnienia wiz, otrzymaliśmy jednak pozwolenia na przekroczenie granicy i w godzinach popołudniowych przeszliśmy na terytorium jugosłowiańskie w miejscowości Biała Cerkiew.

Przejazd przez Jugosławię trwał około ośmiu dni z powodu braku benzyny w Jugosławii i błotnistych ciężkich dróg na niektórych odcinkach.

Przejazd przez Włochy nie nastęrczał żadnych trudności. Granicę francuską przekroczyliśmy dnia 24 listopada w miejscowości Ventimiglie-Menton, a do Paryża przybyliśmy dnia 30 listopada 1939 r., w którym to dniu cała ekipa (22 mężczyzn) zarejestrowała się do wojska w Bessiers.

Z przywiezionych wozów cztery stanowią obecnie czołówkę propagandową wojska, trzy pozostałe wraz z obsługą pracują w Radio Polskim w Paryżu.

*

Składając niniejsze sprawozdanie, oświadczam, że sporządziłem je według najlepszej mojej chęci i wiedzy, starając się naświetlić poruszone sprawy obiektywnie. Być może, że mój punkt widzenia jest w niektórych wypadkach nieco jednostronny, gdyż przytaczam tylko skutki, a nie zawsze podaję przyczyny, które były powodem takiego stanu rzeczy, a które mogą mieć swoje usprawiedliwienie. Przyczyny te nie są mi znane.

/—/ Fryderyk Schoen

10

ZEZNANIE JÓZEFA JELSKIEGO
LONDYN, 3 CZERWCA 1941 R.

Prowadziłem w Polskim Radiu w Warszawie Biuro Finansowe Dyrekcji Programowej, obejmując swą kompetencją wszystkie rozgłośnie polskie. Układanie budżetu zaczynało się od tego, że wszystkie rozgłośnie w porozumieniu z nami przedstawiały swoje życzenia i zamierzenia, co czyniły ramowo. Po uzgodnieniu ze mną w ramach tego, czym — jak wiedziałem — będziemy dysponowali, ustalaliśmy na oba sezony, zimowy i letni, na cały rok naprzód budżety programowe.

Następnie ja ustalałem z kierownikami poszczególnych działów ich budżety, w ramach których one potem układały swoje audycje. Te programy wracały następnie do dyr. [Haliny] Sosnowskiej, potem do mnie, a wreszcie szły do zatwierdzenia do Dyrekcji Naczelnej.

Tam rozpatrywał je głównie dyr. [Piotr] Górecki i Stanisław Krzewski⁸. Dyr. [Konrad] Libicki mało się tymi sprawami interesował. Zmiany wprowadzane przez Dyrekcję były minimalne i ograniczały się raczej do globalnych cięć budżetowych, choć zdarzało się czasem, że nam nawet dodawano, gdy sytuacja finansowa układała się korzystnie.

Investycje ogólnej natury i dużego rozmiaru, jak place pod budowę nowych stacyj itd., szły nie z kredytów pozabudżetowych, lecz z budżetu bieżącego, co było objawem ujemnym, bo wydatki te obciążały nadmiernie normalny budżet eksploatacyjny i odbijały się na innych możliwościach, także i naszego działu.

Wydatki te należało pokrywać z budżetu nadzwyczajnego [i] kredytów długoterminowych. Radio byłoby dostało każdą pożyczkę, jaką by chciało, od banków państwowych (B[ank] G[ospodarstwa] K[rajowego]), ale Min[isterstwo] Poczty i Tel[egrafu] nie chciało, bo zmniejszyłoby to dochody Radia, a tym samym i wpłaty do budżetu pocztowego. Tak więc ze szkodą programu i techniki inwestowano.

Wiem z opowiadań, że nasze dochody pokrywały deficyt Państwowych Zakładów Radio- i Teletechnicznych, o czym mógłby powiedzieć coś inż. Antoni Krzyczkowski, dyrektor Zakładów i ich inicjator.

Historia tych Zakładów zaczęła się od tego, że swego czasu była umowa ze szwedzką firmą Erickson o telefony, dająca jej monopol na aparaty telefoniczne w latach 1925—1926. Potem Radio zaczęło ze swych dochodów spłacać Ericksona — między innymi kupiliśmy akcje jego polskiej firmy, które potem spadły i zostały spisane do zera w bilansie.

Po zlikwidowaniu przedsiębiorstw zagranicznych w Polsce w latach 1929—1930 wybudowało Min[isterstwo] Poczty i Tel[egrafu] z inicjatywy inż. Krzyczkow-

⁸ S. Krzewski był szefem Wydziału Finansowo-Budżetowego w Dyrekcji Administracyjnej Polskiego Radia.

skiego fabrykę telefonów na Pradze. Fabryka ta została następnie rozbudowana jako Państwowe Zakłady Radio- i Teletechniczne i produkowała aparaty telefoniczne, wojskowe, radiowe i wreszcie detefony.

Akcja detefonowa, zainicjowana w 1930 r., była w zasadzie celowa, bo właśnie wtedy rozbudowano stację nadawczą warszawską, tak że pokrywała swym zasięgiem większość Polski na detefon, a jednocześnie ceny sprzętu w sklepach były niepomiarne wygórowane. Tak więc detefon przy swej niskiej cenie (początkowo 39 zł) był tańszy od wyrobów firm prywatnych i przy dobrze zorganizowanej akcji mógł dać duże wyniki propagandowe, jak również zwiększyć poważnie ilość abonentów.

Pomysł tej akcji wyszedł od inż. Edmunda Rudniewskiego⁴, który swego czasu, w roku 1924/25, stworzył P[olskie] T[owarzystwo] R[adiofoniczne], wyrabiając tam sprzęt radiowy, i zbankrutował na tym przedsięwzięciu. Rudniewski starał się jednocześnie z Zygmuntem Chamcem o koncesję na radiofonię, ale zdystansowany wskutek choroby przez Chamca, dostał od niego do zorganizowania imprezę detefonową pod egidą Polskiego Radia.

Pomysł Rudniewskiego miał zrealizować Krzyczkowski z PZRRTT, montując tam produkcję, ale że impreza była właściwie prywatna, tak Rudniewski, jak i — co ciekawsze — Krzyczkowski mieli prowizję od tej produkcji i prowizja ta dla Rudniewskiego wynosiła w dobrych miesiącach około 7 do 8000 zł miesięcznie.

Detefon, kosztujący 39 zł, był wybitną konkurencją dla prywatnych przedsiębiorców, biorących za detektory podobnego typu 50 zł i więcej. Ale akcja detefonowa była zmontowana wadliwie.

Otóż najpierw zamiast rzucić je na rynek w przeddzień uruchomienia nowej radiostacji nadawczej w Raszynie, rzucono je w dwa miesiące po jej uruchomieniu, gdy już przemysł prywatny nasycił w dużej mierze rynek. Cenę detefonów obniżono potem na 32, a wreszcie na 27 zł. Ale PZRRTT wypuścili serię 20 000 detefonów z błędami i w kampanii sprzedażnej pod egidą Radia w roku 1931 sprzedano dużą ich część, zanim się błędy pokazały. Około 10 000 sztuk PZRRTT musiały przerobić, sprzedane detefony musiano wycofywać od odbiorców i oddawać je do przerobienia, tak że cała ta historia była dla Radia bardzo nieprzyjemna i kłopotliwa, nie mówiąc już o kosztach. Radio bowiem otrzymywało zaledwo kilka złotych od sztuki, a musiało finansować kampanię, organizację sprzedaży, w końcu zaś i całą historię z reklamacjami, bo tylko koszty przeróbki obciążały PZRRTT. Było wtedy wiele hałasu o te defekty i dostawaliśmy w Radiu po kilkaset listów z reklamacjami dziennie.

Wówczas Radio zlikwidowało całą tę imprezę i dalej prowadzili ją już same PZRRTT, skąd Krzyczkowski wyszedł około roku 1933/34 i przeszedł na [stanowisko] dyrektora departamentu technicznego Min[isterstwa] Poczty i Telegrafu, gdzie pozostał aż do wybuchu wojny. Był on żonaty z siostrzenicą Józefa Piłsudskiego.

W tym czasie miał z nami kontakty w rozrachunkach za używanie przez Radio kabli transmisyjnych, za które płaciliśmy poczie horrendalną kwotę do 800 000 zł.

Gospodarka PZRRTT była fatalna, zamówienia zagraniczne (Jugosławia) tracili, nie dotrzymując terminów. Po Krzyczkowskim był dyrektorem jakiś pułkownik.

Wracając do spraw budżetowych Radia, zaznaczam, że po ustaleniu ram budżetowych angażowanie wykonawców odbywało się przez wydziały autonomicznie, ale wymagało mojej zgody co do osoby i stawki. Na ogół w tej sprawie nie było tarć, gorzej natomiast bywało z ingerencją wysoko postawionych osób, które miały swoich protegowanych.

⁴ Nie Edmund, lecz inż. Roman Rudniewski (1893—1965) był założycielem polskiego przemysłu radiotechnicznego, m.in. w l. 1924—1936 przewodniczący Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego.

Minister [Tadeusz] Kasprzycki⁵ telefonował do mnie z wyrzutem, że „tępi my Kajzerównę”⁶ w roku 1938/39 w Radiu i nie dajemy jej występów przed mikrofonem. Tłumaczyłem, że bynajmniej jej nie „tępi my”, ale nie może jedna i ta sama aktorka, choćby najlepsza, stale występować, na co on zaczął znowu utyskiwać, że płacimy artystom w ogóle za małe stawki i że w świecie artystycznym jest z tego powodu rozgoryczenie na Polskie Radio. Odpowiedziałem na to, że płacimy wedle naszych możliwości budżetowych, a Kajzerówna ma najwyższe stawki przewidziane u nas. W tym mniej więcej czasie Kajzerówna przestała występować u nas w programach i przeszła do Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, który w sposób autonomiczny nadawał przez radio audycje żołnierskie, dając ludzi i tekst.

Słynna była u nas w roku 1932 historia naszego kierownika muzycznego [Tadeusza] Czerniawskiego⁷, profesora organistyki, którego minister Poczty i Telegrafu Ignacy Boerner zwolnił z Radia w 24 godzinach na podstawie „paragrafu 9”, pozwalającego ministrowi zwolnić każdego pracownika Radia w 24 godz., przy zaplaceniu mu trzymiesięcznych poborów, a bez podania powodów. Zwolnienie to nastąpiło na żądanie pani [Janiny] Prystorowej⁸, która domagała się zaangażowania niejakiego [Tadeusza] Mazurkiewicza⁹ na kapelmistrza, czemu się sprzeciwił Czerniawski i coś ostro podobno Prystorowej na ten temat powiedział. Mazurkiewicz Czerniawski nie chciał, bo nie miał on pojęcia o dyrygowaniu, ale ponieważ był za to związany w jakiś sposób z Legionami, zasłużył na względy Prystorowej. Wynik tej historii był taki, że w miejsce zwolnionego Czerniawskiego przyszedł... Mazurkiewicz, ale jako kierownik muzyczny był do tego stopnia niemożliwy, że wreszcie zwolnił go mjr Karol Krzewski, prezes Rady Programowej.

Głośna była sprawa Lwowskiej Fali. Nadawała ona raz jakąś piosenkę, w której powtarzał się refren „Kościałkowski bez troski”. Refren ten usłyszał raz [Marian Zyndram] Kościałkowski i oburzony tym, że go posądzają, iż nie ma trosk, choć jest premierem, z miejsca zatelefonował do dyr. Góreckiego, domagając się likwidacji Lwowskiej Fali i zwolnienia dyrektora lwowskiej rozgłośni [Juliana] Petryego. Było to w roku 1935/36. Sprawa narobiła hałasu, oparła się nawet o prezydenta RP, bo Kościałkowski nie chciał się cofnąć, ale skończyło się na przeniesieniu Petryego do Wilna¹⁰, skąd wrócił natychmiast po ustąpieniu Kościałkowskiego. Lwowska Fala została, ale nałożono jej mocny kaganiec. Wyglądało to tak, że ile razy w jakiejś satyrze Lwowska Fala bawiła się kosztem jakiegokolwiek instytucji, jej kierownik oburzał się i pisał ostry list do min[istra] Poczty i Telegrafu, domagając się satysfakcji, a minister stale brał stronę obrażonego, a pretensje pozbawionego najmniejszego poczucia humoru dostojnika ostro zwracały się do nas.

Z tych listów z zakazami omawiania w formie satyry rozmaitych Kas Chorych, ZUP-u¹¹ czy innych instytucji stworzyliśmy coś w rodzaju listy zakazów, zawierającej te wszystkie instytucje, które się obrażały.

⁵ Gen. T. Kasprzycki był w l. 1935—1939 ministrem spraw wojskowych.

⁶ Z. Kajzerówna, popularna w latach trzydziestych aktorka i piosenkarka; jej związek z Kasprzyckim był tajemnicą publiczną.

⁷ Prof. T. Czerniawski (ur. 1877) w l. 1926—1932 pełnił funkcję kierownika muzycznego Polskiego Radia.

⁸ Mowa o żonie A. Prystora, m.in. ministra pracy i opieki społecznej, przemysłu i handlu, premiera w l. 1931—1933.

⁹ O sprawie T. Mazurkiewicza wspomina M. J. Kwiatkowski, „*Tu Polskie Radio Warszawa...*”, Warszawa 1980, s. 475.

¹⁰ Perty został przeniesiony do rozgłośni wileńskiej na równorzędne stanowisko. Pisze o tym Cz. Halski, *Polskie Radio Lwów*, Londyn 1983, s. 83—84.

¹¹ Zakład Ubezpieczeń Pracowniczych. Instytucja ta była przedmiotem żartów, na co wskazuje także refren piosenki przytaczanej przez Halskiego (*op. cit.*, s. 95).

Zaznaczam, że odmiennie od innych [Edward] Rydz Śmigły się nie obrażał o satyry na siebie i pozwalał na wycieczki pod adresem wojska i swoim własnym. Jego na tej liście nie było.

Intervencje w sprawach personalnych były częste, przeważnie w postaci telefonów do Libickiego [i] do Góreckiego. Wewnątrz panowała u nas zasada, że ulegaliśmy interwencjom w sprawie personelu pomocniczego i administracyjnego na niższym szczeblu, ale angażowanie personelu fachowego i programowego leżało wyłącznie w naszej kompetencji, bez narzucania go z góry. Angażowanie i zwalnianie tych osób należało przeważnie do Dyrekcji Programowej.

Nasz Wydział Personalny obsadzał wszelkie etaty administracyjne, tak że my tylko podawaliśmy zapotrzebowanie, bez wskazywania osób. Bywały oczywiście interwencje i o wykonawców programów, ale nie odnosiły na ogół skutku, bośmy się skutecznie bronili.

Halina Sosnowska kładła nacisk na odczytywanie regularnie wyjątków z pism Marszałka Piłsudskiego, czym również interesował się bardzo Wacław Lipiński, ppłk z Instytutu Wydawniczego pism Józefa Piłsudskiego¹².

Spośród osób narzuconych nam warto wymienić Stefana Felsztyńskiego¹³, kierownika Wydziału Transmisji. Był to artysta, cygan, człowiek pozbawiony w ogóle poczucia czasu i obowiązku, który okazał się oczywiście beznadziejny na tym stanowisku i wskutek tego przeniesiono go do sekretariatu Rady Programowej, gdzie przynajmniej nie zawadzał. Inna rzecz, że potrafił on robić reporterkę przy mikrofonie znakomicie.

Niezwykła była historia niejakiego Cis-Bankiewicza, kierownika radiostacji w Baranowiczach, i jego pomocnika — Pomian-Kruszyńskiego. Pierwszy został nam narzucony przez koła legionowe, jako były adiutant Marszałka Piłsudskiego, i dopiero po przyjęciu go okazało się, że jego protektorzy się pomylili, bo adiutantem był niegdyś nie on, lecz jego brat. Cis-Bankiewicz został kierownikiem rozgłośni w Baranowiczach, nie mając oczywiście pojęcia o swej pracy, a do pomocy dodano mu Pomian-Kruszyńskiego.

Ten ostatni to był ciemny typ, wyrzucony poprzednio z rozgłośni w Katowicach za wszczynanie awantur, którego jednak nie można było zwolnić ze służby w ogóle, bo miał za silne poparcie generała [Józefa] Kordiana Zamorskiego¹⁴.

Gdy na szereg lat wstecz Marszałek Piłsudski pojechał na Maderę, ktoś wymyślił akcję posyłania mu na imieniny kartek pocztowych z życzeniami. Akcja ta, w której brał udział właśnie także gen. Kordian Zamorski, prowadzona była przez Pomian-Kruszyńskiego, jako sekretarza generalnego, i moim zdaniem Kordian Zamorski musiał mieć z niej jakieś niezbyt jasne korzyści, bo potem stosunek Pomian-Kruszyńskiego do niego miał wszelkie cechy szantażu. Nie mogę sobie wyobrazić bowiem, by obu tych ludzi łączył jakiś inny stosunek, bo Kruszyński to był po prostu „żulik”, drań i ciemna figura, a jednak Kordian Zamorski gwałtownie się o niego upominał i gdy go usunięto z Katowic, trzeba było go dać do Baranowicz, bo nie udało się go zwolnić z posady w ogóle.

W Baranowiczach zapanowały fantastyczne stosunki. Kruszyński jeździł na polowania i na bridża, wojował z Cis-Bankiewiczem, tytułował się dyrektorem, naciągał miejscowych Żydów na pożyczki, upijał się i awanturował, a wreszcie miał jakieś nieporządki finansowe w swoim resorcie.

¹² W. Lipiński był dyrektorem Instytutu Józefa Piłsudskiego Poświęconego Badaniu Najnowszej Historii Polski.

¹³ Mjr rez. S. Felsztyński, oficer I Brygady Legionów był — jak pisała „Antena” — „cenionym literatem i artystą malarzem”, por. M. J. Kwiatkowski, *op. cit.*, s. 188.

¹⁴ Gen. J. Kordian Zamorski pełnił w l. 1935—1939 funkcję komendanta głównego Policji Państwowej.

Pojechałem tam robić porządek. Zostałem niezwykle bałagan — starosta miejscowy prosił usilnie, by go zabrać z Baranowicz, bo w tak małym mieście ludzie z Radia należą do miejscowej elity, a tymczasem na porządku dziennym są pijackie skandale i awantury z policją.

Po powrocie do Warszawy postawiłem wniosek o natychmiastowe zwolnienie Kruszyńskiego i gdy on się u mnie zjawił, powiedziałem mu to otwarcie. Na to on poprosił mnie o przysługę, a mianowicie podanie mu do wiadomości treści raportu, jaki złożyłem z mego pobytu w Baranowiczach.

Zgodziłem się na to niezwykle żądanie i przeczytałem mu to, co o nim napisałem, a opisałem wszystko, nie bawiąc się w żadne ceremonie.

On na to mi podziękował za szczerość i powiedział, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że chcemy go wylać, prosi tylko, by mój raport zatrzymać na okres około dwóch tygodni, bo tymczasem wróci z Norymbergi Kordian Zamorski, który go obroni.

Na to się oczywiście nie zgodziłem, raport od razu przedłożyłem Dyrekcji Naczelnej, która z miejsca zwolniła go ze stanowiska w Baranowiczach, ale widocznie nie miała siły zwolnić go w ogóle z posady, bo — jak się potem dowiedziałem — dostał on jakieś zajęcie w Radiu, w podsłuchach.

Cis-Bankiewicz jeszcze na razie został w Baranowiczach i zanim zdołano go stamtąd zabrać, wybuchła wojna.

Narzucono nam i mniej szkodliwych ludzi. I tak narzucono nam Birkenmajera do Wydziału Kontroli audycji. Wsadził go tam jakiś minister, choć Birkenmajer nie znał się zupełnie na robocie i dopiero na swym stanowisku uczył się wszystkiego od początku.

Pogadanki radiowe na tematy rządowo-ozonowe oczywiście były i przed mikrofonem występowali nieraz ministrowie, ale wielu z nich nawet nie brało zwykłych honorariów prelegentkich, przeznaczając je na rozmaite cele. Bez próby głosu nawet minister nie dostał się do mikrofonu, choćby miał najciekawszy tekst do wygłoszenia. Ogólnie mogą powiedzieć, że ilość tych pogadanek była w granicach zupełnie przyzwoitych i mikrofonu nie nadużywano poza granice, w jakich może z niego korzystać stronnictwo będące u władzy.

[Zygmunt] Karaffa-Kreuterkrafft był emerytowanym pułkownikiem Wojsk Łączności i miał duże poparcie BBWR, gdzie był uważany za specja od radia. Gdy odchodził Chamiec, Karaffa chciał być jego następcą — był on stałym kandydatem na ministra Poczty i Telegrafu. Miał poparcie gen. Jakuba Krzemieńskiego z Najwyższej Izby Kontroli Państwa, co prawdopodobnie łączy się z tym, że był po ojcu pełnej krwi Żydem. Za Starzyńskiego był sekretarzem generalnym Radia; był sprytny, chaotyczny, nie odznaczał się wybitnym talentem.

W czasie gdy Radio walczyło z trudem lamp katodowych reprezentowanym przez Philipsa, Karaffa popierał go wbrew interesom instytucji, w której pracował. Z Philipsem byliśmy w zgodzie tak długo, dopóki nie zażądaliśmy obniżenia cen na lampy katodowe, które w Polsce były niepomiernie droższe niż za granicą wskutek monopolu, jaki miał Philips, reprezentujący trust z jego patentami i ograniczeniami wolnej konkurencji.

Ludzie z Radia wytrwali na stanowisku w czasie wojny (czego nie można powiedzieć o Dyrekcji). Kierownik muzyczny Edward Rudnicki¹⁵ objął rozgłośnie na Zielnej i całość pracy. Raszyn pracował do 6 września, a potem aż do ostatniej chwili pracowała Warszawa II.

Nas ewakuowano do Lublina, skąd część personelu odesłano do Baranowicz,

¹⁵ E. Rudnicki pracował w Polskim Radio od 1933 r., początkowo jako kontroler audycji, później jako organizator Działu Muzycznego, którym kierował, por. M. J. K w i a t k o w s k i, op. cit., s. 256—257.

które pracowały do 16 września i utrzymywały łączność z Warszawą II i ze Sztabem oraz Kwaterą Naczelnego Wodza; dostawaliśmy komunikaty *via* Pińsk kablem.

Ludzie spisywali się dobrze. Podczas bombardowania Warszawy spisywała się dzielnie pani [Maria] Żebrowska, spiker Tyllia i spikerka [Aleksandra] Stpiczyńska, jedna z poprzednich żon Wojciecha Stpiczyńskiego¹⁶. Technicy w Warszawie utrzymywali stację w ruchu dosłownie pod bombami, bo gdy po rozbiciu Zielnej przenieśli się na fort w Mokotowie, spadły na samą stację bomby, nie wyrządzając zresztą na szczęście zasadniczej szkody, bo fort był mocny i głęboki. Stacja warszawska pracowała nawet po kapitulacji Warszawy, aż do chwili wkroczenia Niemców, po czym dopiero zamilkła.

Stacja nadawcza w Baranowiczach dostała 158 lejów bombowych w najbliższym otoczeniu budynku zawierającego aparaturę nadawczą, a choć bezpośrednio nie trafili w stację, od wybuchów rozregulowały się i częściowo popękały lampy nadawcze i po ostatnim bombardowaniu stacja zamilkła dnia 15 września w piątek.

Wilno pracowało również podczas działań wojennych; część naszego personelu tam pojechała, ale tymczasem w dniu 15 lub 16 września podczas nalotu na Wilno trzy bomby trafiły w stację i nadawanie się skończyło.

Lwów pracował również do ostatniej chwili. Bolszewicy przejmowali stacje. Gdy przyszli do Baranowicz, personel nasz zachował się bardzo godnie — część sprzętu udało się pochować w jaskiniach między Wilnem a Trokami, razem ze sprzętem wojskowym.

Przez sześć tygodni byłem pod rządami bolszewickimi w Wilnie. Bolszewicy objęli stację i mieli nadawać po polsku, białorusku i litewsku, a Baranowicze miały być zlikwidowane. Przyjechał bolszewicki dyrektor z Moskwy, fachowiec bardzo słaby w naszym pojęciu, ale tymczasem doszło do paktu z Litwinami o oddaniu im Wilna, więc zjawił się znowu dyrektor z Kowna. My usunęliśmy się od współpracy, stację jednak Litwini uruchomili i nadawali audycje, także i polskie, o tendencji dość umiarkowanej — było to w grudniu, styczniu i lutym. W marcu wyjechałem z Wilna, gdy już było wiadome, że bolszewicy tam wrócą.

—/ Józef Jelski

11

ZEZNANIE EWY FRYZÓWNY LONDYN, 5 CZERWCA 1941 R.

Od dnia 1 marca 1927 r. do końca działalności rozgłośni krakowskiej w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. byłem sekretarką Wydziału Programowego, którym kierował inż. [Stanisław] Broniewski.

Rozgłośnia krakowska pracowała samodzielnie w pierwszych latach, mając całe popołudnie do swej dyspozycji i biorąc z programu warszawskiego to, na co miała ochotę, nie miała zaś żadnych w tym kierunku obowiązków.

W czasie około 1928/29 zaczęło się to zmieniać. Tłumaczono nam, że koszty eksploatacji przy tak daleko posuniętej autonomii regionalnej są za wysokie, że bardzo wiele kosztują kable transmisyjne, że scentralizowanie programu obniży poważnie wydatki i że nie obniży poziomu audycji, pozostawiając jednocześnie autonomię programową poszczególnym stacjom, bo zapewni im około 25% czasu na audycje własne.

¹⁶ W. Stpiczyński, działacz polityczny, publicysta prasy rządowej po 1926 r., m.in. red. naczelny „Kurier Porannego”.

Około roku 1932/33 doszło do scentralizowania programu w dużej jego części, z pozostawieniem nam „okienek” regionalnych, zresztą dość obszernych stosunkowo, przy czym my mogliśmy dawać i dawaliśmy sporo naszych rzeczy na program ogólnopolski, to Kraków miał tyle wybitnych sił naukowych i artystycznych, że często z nich korzystano na całą Polskę. Nasz wpływ na program ogólnopolski był dość znaczny — Warszawa często pytała nas o radę i często z niej korzystała.

Nasz program regionalny układaliśmy sobie sami dowolnie, uważając tylko, by tematy nasze się nie zbiegały z ogólnopolskimi, bo wywołałoby to monotonię. Teka naszych audycji była bardzo obfita i mieliśmy z czego czerpać.

Naciśku na nas nie zauważyłam w dziedzinie programowej; nie było nacisków politycznych i nie było też walki o treść programów, o ile idzie o ich stronę polityczną. Jedyna walka, o jakiej wiem, toczyła się między Krakowskim Związkiem Literatów a nami, bo prezes Związku poeta [Józef] Gałuszka miał wysokie ambicje, pretensje do Broniewskiego i skutkiem tego były memoriały do Warszawy, skierowane przeciw Broniewskiemu, które jednak pozostały bez skutku.

Nie mieliśmy natomiast zupełnie poparcia ze strony władz miejskich. Prezydent Krakowa [Mieczysław] Kaplicki radiofonią się nie interesował, co okazało się jasno w roku 1935, gdy były starania z naszej strony o wzmocnienie mocy nadawczej stacji. Przyjechał wtedy do Krakowa dyr. [Roman] Starzyński i oświadczył, że nie zamierza wzmocnić Krakowa, bo nie ma pieniędzy. Jednak gdyby wówczas był ujął się za nami prez[ydent] Kaplicki, byłoby bez wątpienia doszło do wzmocnienia stacji, co miało ogromne znaczenie z uwagi na jakość naszych programów i położenie geograficzne stacji.

Tak ujmował się za radiostacją katowicką wojew[oda Michał] Grażyński, a za lwowską prez[ydent Władysław] Belina — obaj doceniali znaczenie radiofonii i walczyli dla swych stacji rozbudowę techniczną i programową, podczas gdy w Krakowie było zupełnie inaczej.

Fatalne były stosunki z dyrektorem Teatru Miejskiego [Jerzym] Bujańskim, który ujmował sprawy artystyczne z punktu widzenia czysto komercyjnego, jako dawny przedsiębiorca koncertowy. Za prawo transmisji z Teatru Miejskiego żądał ogromnych sum, nieosiągalnych w naszych warunkach, i odnosił się do nas jak do niewygodnej konkurencji. Bujański obecnie, jak mam wiadomości, współpracuje z Niemcami w Krakowie, swój sklep tytoniowy ma do wyłącznej dyspozycji Niemców, jest autorem licznych donosów na aktorów polskich, w których zarzuca im nieprawomyślność wobec władz niemieckich itd.

Drugim człowiekiem obecnie współpracującym z Niemcami jest dr Henryk Szatkowski, nasz dawny współpracownik sportowy, człowiek bardzo zdolny, pełen inicjatywy, który zorganizował w krakowskim Radiu transmisje sportowe na europejską skalę (międzynarodowe zawody hokejowe w Krynicy, narciarskie w Zakopanem, samochodowe itd.).

Obecnie dr Szatkowski, który po opuszczeniu Krakowa przeszedł do Min[isterstwa] Komunikacji i był tam prawą ręką min[istra Aleksandra] Bobkowskiego¹⁷, wykazuje, że Podhale i Tatry są krajem kultury germańskiej, i deklaruje swą lojalność wobec Hansa Franka tak dalece, że własna rodzina go się wyrzekła.

Wracając do sytuacji naszej stacji, należy zaznaczyć, że nasze możliwości budżetowe były bardzo słabe — stawki płacone przez nas wykonawcom były bardzo skromne. I tak poważny naukowiec, profesor uniwersytetu, otrzymywał 100 zł za opracowany starannie piętnastominutowy odczyt na fali ogólnopolskiej, podczas gdy u nas za taki sam odczyt na fali lokalnej otrzymywał 40 zł, docent 30 zł, a inni

¹⁷ A. Bobkowski, ppłk dypl., od 1933 r. podsekretarz stanu w Ministerstwie Komunikacji.

prelegenci 25 zł. Na wszystkie audycje lokalne mieliśmy miesięcznie około 30 000 zł, co absolutnie nie wystarczało.

Audycje na wielką skalę (np. rewia kawalerii na Błoniach, pogrzeb Marszałka Piłsudskiego itp.) montowane były wspólnymi siłami Krakowa, Katowic, Warszawy, bo sami przy naszych środkach technicznych i naszym personelu nie bylibyśmy dali rady. Trzeba stwierdzić, że tak Warszawa, jak i Katowice czy Lwów szły nam w pełni na rękę, pomagając na każdym kroku, gdzie tylko było potrzeba.

W ogóle należy podkreślić, że stosunki z innymi stacjami, z Warszawą na czele, były jak najlepsze, bez zadrażnień i nieporozumień, bo nie można uważać za nieporozumienia targów budżetowych lub starań o miejsce w programie, jako że to są rzeczy normalne w każdej instytucji, odbywały się zaś w zupełnie przyjacielskiej atmosferze, przy obustronnym zrozumieniu trudności i konieczności kompromisów między tym, czegośmy chcieli, a tym, czego można było wymagać.

Polityka personalna w Krakowie nie dawała na ogół powodu do narzekań. Pamiętam jeden tylko wypadek przyjęcia do pracy niejakiego Nowackiego, kuzyna jakiegoś pułkownika z Warszawy, zajmującego się sportem. Dla tego p. Nowackiego nie było właściwie w ogóle zajęcia i dopiero mu jakiś dział pracy stworzono, on zaś z kolei po objęciu stanowiska sprowadził do Radia krakowskiego swoją narzeczoną, niejaką p. Frymorgen, dla której także nie było roboty.

W kwietniu 1935 przyjęto krewnego dyr. Starzyńskiego, niejakiego Procznera, który został kierownikiem administracyjnym i na tym stanowisku pracował bez zarzutu — był energiczny, utrzymywał porządek i jedynym zarzutem przeciw niemu było to, że był właśnie krewnym Starzyńskiego.

Podkreślam, że wzajemny stosunek nasz i Centrali w Warszawie był bez zarzutu, nie czyniono nam żadnych trudności ani przykrości, nasz zaś wewnętrzny stosunek w rozgłośni krakowskiej był nacechowany pełną serdecznością — czuliśmy się wszyscy jak jedna rodzina, szliśmy z prawdziwą przyjemnością do biura i pracowali bez względu na czas i wysiłek, wielokrotnie nocami, gdy były pilne sprawy do załatwienia. Dyr. Broniewski był człowiekiem pełnym taktu, był bezinteresowny i życzliwy dla wszystkich współpracowników, a to samo można powiedzieć o innych przełożonych moich i kolegach.

Wiem od sekretarza rozgłośni Alfreda Wóycickiego, że na polecenie Centrali warszawskiej zorganizował w roku 1936 w Krakowie Komitet Społeczny dla walki z kartelem lamp katodowych (głównie Philipsem, mającym monopol na te rzeczy w Polsce). Walka toczyła się o potaniecie sprzętu, zwłaszcza zaś lamp, których cena w Polsce, dyktowana przez kartel, była niewspółmiernie wyższa niż za granicą, w dalszych zaś etapach szło o odebranie kartelowi jego monopolistycznych uprawnień w ogóle.

Uzyskano pewne wyniki w postaci potaniecia lamp, ale walka trwała aż do wojny i jeszcze nie była ukończona. Słyszałam natomiast od jednego ze znajomych, który pracował u Philipsa w Krakowie, że przypadkowo natrafił w papierach dyrektora krakowskiego oddziału na kwity z miesięcznych dotacji pochodzących z Niemiec, które nasuwają poważne podejrzenia współpracy dyrektora z Niemcami w zakresie wywiadu. Bliższych szczegółów tej sprawy nie znam.

Nie znam planu Mobilizacji i ewakuacji rozgłośni, bo nie dawano go do wglądu personelowi stacji.

Dnia 1 września 1939 o godz. 4³⁰ rano był nalot niemiecki, a dnia 2 września o 4 po południu została zbombardowana stacja nadawcza na Salwatorze, ugodzona celnie pięcioma bombami. Byli tam też zabici i ranni, ale dzięki pracy techników już w pięć godzin po nalocie stacja pracowała znowu i nadawano aż do wtorku 5 września, o ile wiem (Niemcy weszli do Krakowa w nocy z środy na czwartek).

W niedzielę 3 września starosta grodzki w Krakowie dał telefoniczny rozkaz

ewakuacji personelu stacji, co miało nastąpić w dwu rzutach ze względu na brak środków przewozowych. Ja wyjechałam z pierwszym transportem dnia 3 września, w niedzielę, do Lublina; personel techniczny pozostał w Krakowie i został z nim dyr. Broniewski, który już potem z Krakowa się nie wydostał.

W Lublinie spotkałam dyr. [Halinę] Sosnowską — organizowano tam specjalny podsłuch radiowy przy Prez[ydium] Rady Min[istrów] i mnie przydzielono do tej pracy jako stenotypistkę. Wskutek stałego cofania się niedługo pracowałam i znalazłam się za granicą państwa.

O ile słyszałam, Niemcy przenieśli stację podobno do nowego gmachu Biblioteki Jagiellońskiej i nadawali jakieś audycje; co się tam działo potem, nie wiem.

Z pracowników radiowych przebywali w Anglii: spiker lwowski i członek Lwowskiej Fali Czesław Halski, szeregowy GPO Perth P/13; kier[ownik] techn[iczny] z Katowic Karol Klimsza, porucznik, adresu nie znam; Zygmunt Jastrzębski, szeregowiec, były pracownik Wydziału Prasowego z Warszawy; inż. Anatol Lewicki z Łucka (adres w Min[isterstwie] Inf[ormacji]).

/—/ Ewa Fryzówna